

WIECZORY RODZINNE,

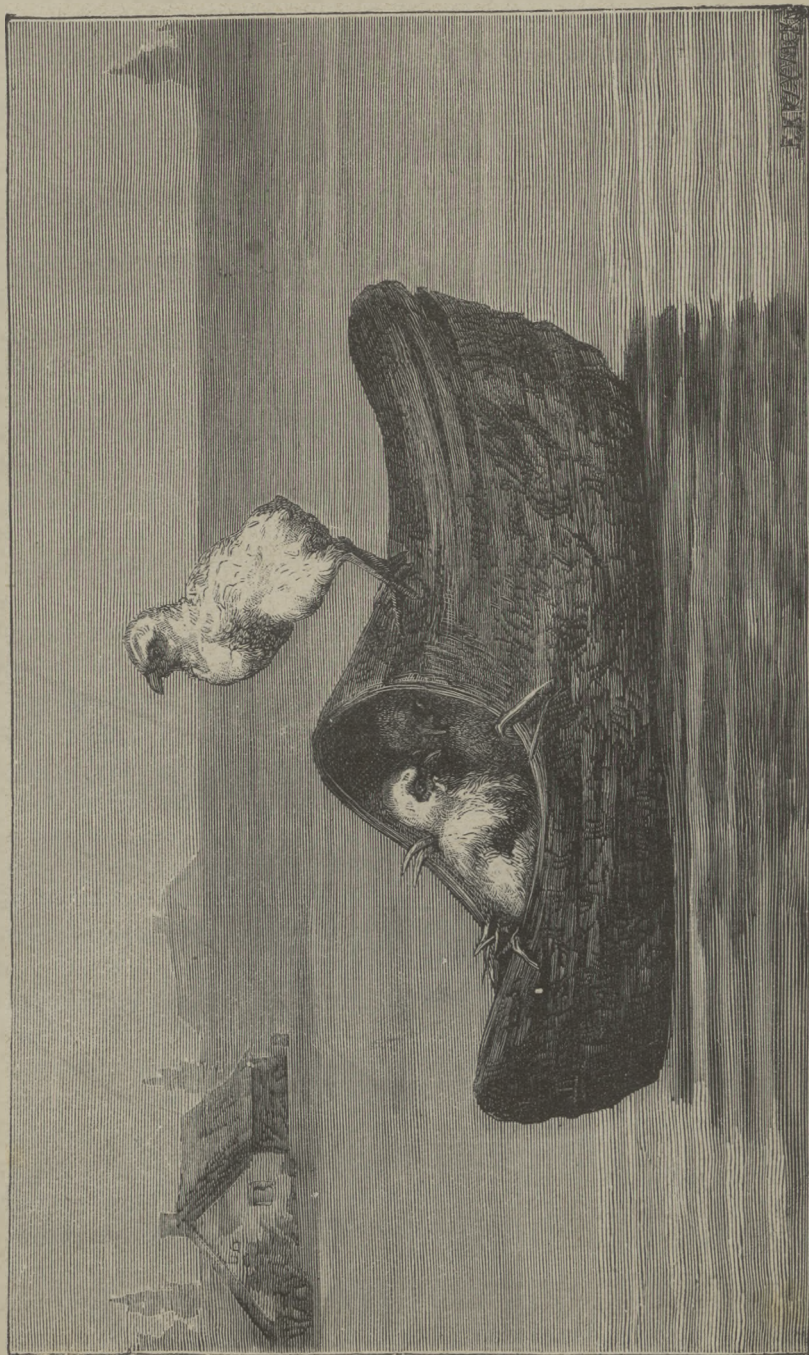
CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[20]

POWÓDŹ.

Wisła rozlała szeroko swe wody w czasie letniego ich przyboru, niwecząc w jednej chwili prace rolników. Szczyty chat wieśniaczych i wieże kościołów, wznoszą się tylko po nad bezbrzeżnym obszarem wód pokrywających pola i ogrody. Wśród wzburzonych fal kołyszą się niekiedy, niby różnego pokroju statki, przedmioty na których zaskoczona woda żyjące istoty szukały ocalenia. Rycina nasza przedstawia tego rodzaju łódkę, utworzoną ze starego wieśniaczego trzewika, w którym mieszczą się niedawno wylęgłe kurczęta. Jedno z nich, snadź śmielsze od drugich, stanęło na pokładzie statku i patrzy ażali rychło przybije do brzegu, na którym w nawpół tylko zalanej chacie, może znajdą się jeszcze ludzie którzy przyjdą w pomoc rozbitkom.



POWÓDŹ.

DŁUGA SUKIENKA.

Do Zosi B.

I.

(w r. 1879).

Chciało się Zosi wierszyka,
Chęć to ni zdrożna, ni płocha.
A więc do dziada lirnika,
Co wie, że bardzo ją kocha.

„Napisz mi wiersze, staruszk!“
— „Dobrze, napiszę — lecz o czém?
Czy o twém złotém serduszk,
Czy o twój główce z warkoczem?“ —

— „Nie nie! ludzieby się śmieli!“ —
— „To może wolisz opisy
Kaprysków twoich — jeżeli
I ty masz także kaprysy“. —

— „Nie! ciocia miéłby nie dała“. —
— „To cóż chcesz?“ — „Sama nie zgadnę.
Ja tylko bardzobym chciała
Miéć jakie wierszyki ładne“.

„Czekajże, moja Zosiutko!
Przyrzekam tobie piosenkę
Na czas, gdy zrzucisz już krótką,
A wdziejiesz długą sukienkę“.

II.

(w r. 1882).

Co widzę? — jak ten czas leci!
Zosia już w długiej sukience!
A w ręku — wiem, wiem, co świeci.
Cyrograf mój o piosence. —

Ha! moja śliczna panienko!
Ciesz się, widzę, strój nowy,
Lecz wiesz, jakie z tą sukienką
Świat na cię wkłada okowy?

Dotąd cię wszyscy kochali
Przez przyjaźń z mamą lub z tatą,
Nikt nie przesądzał, azali,
I jak zasługujesz na to.

Teraz już jesteś osobą,
I już nie możesz dać kroku,
Aby świat z niego nad tobą
Nie formułował wyroku.

Nie dbać o sąd ten, nie można,
Bać się go nazbyt — katusza,

Dogodzić wszystkim, chęć próżna,
Lecz źle kto wszystkich obrusza.

O ciebie to mię nie lęka.
Lecz na nową życia drogę,
Nie zawadzi, że piosenka
Da ci krzyżyk i przestrogę:

Idź śmiało — lecz wciąż ku temu,
Przez co się w duszy spodziewasz,
Że się podobasz bliżniemu,
A Pana Boga nie gniewasz.

A. E. Ogiński

WSPOMNIENIA Z ŻYCIA POETY.

O godzinę drogi od Paryża, pośród ogrodów, sadów i zielonych lasów, leży uroczę Montmorency, przedmieście francuskiej stolicy. Na lewo od stacji kolei, o kilkaset kroków w bok niezbyt wysoki mur otacza czworokątny cmentarzyk, wznoszący się w kształcie amfiteatru, wypełniony krzyżami, na mogiłkach ustawionych symetrycznie, jakby na szachownicy. Tu i ówdzie jakiś okazały pomnik z kamienia albo kapliczka zwraca uwagę przechodnia, lecz ten kto z Polski tu przybył, jednego najpierw szuka nagrobka, tego, co stoi w samym środku cmentarza w kształcie ściętej piramidy, z szarego kamienia wyciosany, skromny i niepozorny, obwiedziony żelazną balustradą, tego, co nie ściągnąłby na siebie niczyjego wzroku gdyby go umyślnie oko i serce nie szukało, ale raz ujrany pociąga ku sobie jakąś niepojętą magnetyczną siłą; wpatrujesz się w niego, przyspieszasz kroku, stajesz i już masz łzę pod rzęsą, już odkryłeś głowę, zgąłeś kolano, schyliłeś czoło, w sercu ci się odzywa takie uczucie, jakbyś bratnią ręką potarł wieko trumny, ukrytą w tym grobowcu przed tobą i mówił ze czcią i pokorą:

— Jestem, mistrzu, przyszedłem z twojej ziemi, niosę duchowi twemu pozdrowienie od swoich.

Wówczas podnieś czoło i spojrzysz w górę, a ten, do którego przemówiłeś, ukaże ci swoją twarz z głębi kamienną piramidy, twarz znaną ci od dawna z chłopięcych lat jeszcze... Francuski artysta, August Perrault, który z pośmiertnej maski rzeźbił owe rysy naszego wieszczą, wlał w nie taką potęgę, tak pochwycić umiał wyraz twarzy Mickiewicza, że w tym medalionie stworzył arcydzieło. Nawet cudzoziemiec, spojrzawszy na ten medalion, odgadnie odrazu, że ten, kto śpi pod tą mogiłką, nie był człowiekiem pospolicym.

Adam Mickiewicz

24 Grudnia 179826 † Listopada 1855.

Oto cały napis skromnie wykuty czarnemi głóskami na kamieniu; reszta w sercach tych, którzy je czytać umieją. Poniżej, nazwiska złożonych w tym samym grobie, żony, syna i dwojga wnucząt poety.

Ustęp ten wyjęliśmy z obszerniejszego opisu odwiedzin grobu wieszczą przez jednego z naszych pisarzy. Wiecie już zapewne ze składek zbieranych na ten cel po wszystkich pismach, że miłość współziomków, pragnie mu wzniesć okazalszy pomnik na ojczystej ziemi. Zanim to nastąpi dajemy wam wizerunek samotnego grobowca Mickiewicza na obczyźnie, a obok tego niektóre szczegóły z życia poety w rodzinie, wyjęte z pamiętnika spisane przez najstarszą córkę jego, dla najmłodszego brata, który już nie mógł sobie przypomnieć, widzianego w pierwszym dzieciństwie domu rodziców.

„Dla ciebie to, kochany mój Józiu, mówi ona, dla ciebie, który straciwszy tak wcześniej rodziców, nie możesz ani przypominać ich sobie, ani wiedzieć jak słodko wzrastać w rodzicielskim domu, od dawna zamierzam skreślić moje wspomnienia z tych lat ubiegłych bez powrotu. Opowiadania urywkowe mało ci o domowej stronie życia ojca dać mogły pojęcia; pomyślałam zatem, że spisując to wszystko, co tak wiernie w pamięci mojej odbiło się, może potrafię odżywić dla ciebie drogie postacie rodziców, uprzytomnić ci je lepiej, wprowadzić cię znowu do grona, które śmierć rozbiła nim zdołałeś dobrze je poznać i dać ci uczuć jakim życiem się żyło w gnieździe, które choć nieraz troskami nawiedzane, burzą wstrząsane, wykołysało szczęśliwe nasze dzieciństwo.

Pierwsze moje wspomnienia sięgają bardzo daleko, bo pamięć, którą zawsze miałam dobrą wcześniej poczęła rozwijać się i w umysł wrazać przygody dzieciństwa. Przypominam sobie, choć jak przez sen, nasze mieszkanie na *rue du Val de Grâce*, a raczej duży dziedziniec z ogrodem i z trawnikiem, na którym z Władziem prawie cały dzień spędzaliśmy, przewracając się na trawie i wyglądając czy przez bramę kto nie zawita do rodziców. Częstym podówczas ich gościem był mój ojciec chrzestny, sędziwy staruszek Julian Niemcewicz, u którego w szczególnych byłam łaskach. Wiersze do mnie pisał, psuł aż do zbytku i wszystkim moim dziecinnyim zachceniom dogadzał. Wylatywałam też zawsze naprzeciw niego z okrzykiem radości, ale muszę wyznać, że nie tylko wiedziona czystym uczuciem przywiązania, lecz także żeby płądować po kieszeniach, które bywały nąładowane

ciasteczkami, cukierkami a nieraz i podarunkami. Przynosił mi też często rozmaite rzeczy do ubrania, pończoszki, kaftaniczki itp.; ale że sam nigdy nie miał dzieci, nie zdawał też sobie sprawy, że dziecko rośnie, brał zawsze tój samej wielkości jak kiedyś miała kilka miesięcy, i wiecznie potem się dziwił widząc, że za małe. Niedługo niestety! miał go wzrost mój zadziwiać, bo kiedy umarł byłam jeszcze tak mała, że idąc za jego pogrzebem w Montmorency, w piękny dzień majowy, koniecznie napierałam się, żeby biegać i rwać kwiatki; dopiero wówczas, kiedy postawiono mię nad dołem i kazano pierwszą grudkę ziemi rzucić na trumnę, żal i przestach mnie ogarnął, bom nagle zrozumiała, że on tam już na zawsze zamknięty. Ale na *rue du Val de Grâce* żaden cień czarny nie przesuwiał się przez dni nasze jasne i wesołe. Pamiętam też z owych czasów, choć mniej wyraźnie, Stefana Witwickiego, który lalki mi przynosił, oraz, jak za mgłą jaką, wyjazd do Chili przyjaciele ojca, pana Ignacego Domejki *), o którym często wówczas i potem była mowa. Opowiadania o dalekiej podróży, o nieznanym krajach, wielkie na moim dziecinnyim umyśle czyniły wrażenie i Ameryka przedstawiała mi się jako kraj zaczarowany, pełen bogactw rozmaitych, nadzwyczajnych drzew, kwiatów i prześlicznych ptasząt. Z niecierpliwością wyglądałam powrotu p. Domejki, którego przez ojca prosiłam o przywiezienie mi trzech rzeczy: szalu tureckiego, brylantów i żywego kolibrzyka, nie upatrując zapewne nic świetniejszego na świecie nad ten dość dziwny dobór prezentów. Tymczasem z wielkiem zajęciem słuchałam listów podróżnego, które ojciec, widząc moją ciekawość, najczęściej głośno mi czytał.

Tak jak zwykle u dzieci bywa, bagatele bardziej mnie uderzały niżeli rzeczy ważniejsze i zwykły tryb życia. Zostało mi tylko w pamięci, że ojciec bardzo mnie psuł, pieścił i dużo się mną zajmował, do tego stopnia, że jak mi później opowiadała mama, kiedy mnie zaczęto w pieluchach sadzać na ziemi, ojciec kładł się obok mnie, abym patrząc na niego nauczyła się pełzać, bo lękał się, żebym własnym rozumem nie potrafiła z miejsca ruszyć na czworakach. Do trzech lat przeszło nie chciałam inaczey zasnąć niż na ręku ojca, który długimi godzinami nosił mnie po pokoju, ani pozwolić, żeby gdzie wyszedł wieczorem. To też ojciec musiał używać wybiegów, aby się oswobodzić od *swego tyrana*, jak mnie sam często nazywał. Zatem kiedy miał wyjść wieczorem a moje podejrzliwe oczy zamknąć się nie chciały, zapowiadał,

*) Ignacy Domejko uczony przyrodnik, dzisiejszy rektor uniwersytetu w Santiago.

że mnie bierze z sobą do znajomych. Ubierano mię w kapelusik i płaszczyk i ojciec wynosząc mię do drugiego ciemnego pokoju perswadował, że idziemy po schodach, że przechodzimy przez ulice, póki ukołysana nie zasnęłam na jego ręku. Te moje dzikie wymagania nie przeszkadzały admiracyom ojcowskiem dla zepsutego dziecka.

Podróż nasza do Szwajcaryi, kiedy ojciec powołany został na profesora do Lozanny, pierwszym była ważniejszym wypadkiem odznaczającym się na cichém i błogiem tle mego życia. Odbyliśmy ją tak jak się wówczas podróżować musiano, dyliżansem, w którym przez trzy dni i trzy noce rodzice byli zamknięci z dwójgiem małych dzieci, a z tych jeszcze jedno chore. Na każdej stacyi pocztowej rozpoczynały się kłopotliwe poszukiwania ciepłego mleka, gdyż Władzio, bardzo wówczas cierpiący, nic innego wziąć do ust nie mógł. Na noc ojciec zawsze mnie kładł na ławeczce za sobą i płaszczem swoim otulał, która to pościel bardzo mi się podobała. Ale raz zbudziwszy się w nocy, co mi się dotąd jeszcze nie było zdarzyło, ubawiłam ojca pytaniem, które nieraz potem mi przypominał: Papo, dla czego to słońce zapomniało wstać?

Przyjazd nasz do Lozanny otworzył mi nową erę swobody i zabawy. Mieszkaliśmy w willi *Beau-Séjours*, jednej z najpiękniejszych nad jeziorem, w której Napoleon stał w czasie swego przejazdu przez Lozannę. Zajmowaliśmy całe dolne mieszkanie domu; na pierwszém piętrze ulokowała się jakaś księżna Wirtemberska, z którą później poznajomiliśmy się i która przyjemną nam była sąsiadką. Jak dzisiaj pamiętam duży salon, którego okna i drzwi szklane wychodziły na ogród i na całą dolinę schodzącą ku jezioru. Przeciwniegiła ściana, cała zwierciadlana, odbijała cudny ten krajobraz: błękitną przestrzeń Lemanu i w oddaleniu śnieżne góry, na które z tém większém patrzałam upodobaniem, żem wyobrażała sobie, iż cukrem posypane. Co rano, ledwie wstałam, wbiegałam do tego salonu i zawsze zastawałam ojca siedzącego przy stole zarzuconym papierami, który stał przy oknie. Z poufałością zepsutego dziecka odrywałam go od pracy, chwytałam za rękę i schodziliśmy razem do ogrodu, przypatrywać się krzewom, kwiatom i owadom. Ojciec nieraz długo stał ze mną nad mrowiskiem, pokazując mi i sam z zajęciem studyując (bo historię naturalną bardzo lubił) obrotu i rozum tych drobnych stworzeń, lub dopomagał moim usiłowaniom, aby muchy wybawiać z sieci pających. Te ranne przechadzki wielką były dla mnie uciechą, cieszyłam się też bardzo kiedy mnie ojciec brał z sobą na spacer i wędrowaliśmy po mieście lub schodzili do jeziora. Pa-

miełam jak dzisiaj, żem raz miała jakieś trzewiczki do których ciągle piasek wpadał; ledwie kilka kroków uszłam, utyskiwać zaczynałam, że kole. Wówczas ojciec z niezmordowaną cierpliwością przyklekał na ziemi, zdejmował trzewiczki, piasek wysypywał i wkładał mi je znowu, aby za chwilę znów inieć tę samą przyjemność. Tak wędrując powoli, w poranek wiosenny dość zimny, bo choć słońce już dogrzewało w cieniu było chłodno i lód nie wszędzie stopniał, postrzegłam brylkę lodu doskonale kształt gruszki naśladującą. Przymarzała do niej zielona gałązka dopełniała podobieństwa. Napałam się, aby ją wziąć i mamie zanieść, lecz żeśmy mieli jeszcze iść dalej, ojciec poradził zostawić ją na trawie w cieniu, gdzie mniej prędko stopniećby mogła. Jednak kiedyśmy powrócili w ten sam zakątek cienisty, już słońce było podeszło wysoko i na miejscu zlodowaciałej gruszki nic nie zostawiło prócz zielonej gałązki zwilżonej wodą. Na ten widok osłupiała z początku pojąć nie mogłam co się stało, potem dopiero płakać i żałować zaczęłam tak pięknej, tak rzadkiej gruszki z lodu. Trzebaż było aby tak prędko stopniała! Wówczas ojciec coś wyrzekł o znikomości rzeczy tego świata. Słów nie zrozumiałam, ale głęboko smutny wyraz, który na chwilę twarz jego przybrała, mocno mnie zastanowił.

Podczas tych spacerów parę razy zdarzyło się, żem odbiegła ojca zajętego rozmową ze spotykany mi znajomymi i sama powracałam do domu, żeby pokazać, że już własnym rozumem drogę wynaleźć umiem. Niespokojny ojciec po całém mieście mnie szukał i pomimo moich przywilejów, pamiętne odebrałam kary za te popędy samowolności. Ale bardziej jeszcze zasłużona i strasznie upokarzająca kara spotkała mnie za wybryk miłości własnej, obudzony po prostu parą trzewiczków z brązowozłotawej skórki, które to trzewiczki sprawiono mi na wieczór dziecienny u dobrych znajomych rodziców pp. Jundziłów. Było tam dużo dziewczątek, ale choć miały jak ja białe sukienki, trzewiczki wszystkie były czarne, z czego w tak niesłychaną wzbilałam się dumę, że z nikim już mówić nie chciałam, królując w tak piękném i rzadkiém obuwiu. U moich rywalek upokorzonych płacz się podniósł i skargi, co gdy doszło do ojca, przed wszystkiemi ostre wymierzył mi napomnienie, trzewiczki solennie skonfiskował i drugiej dziewczynce darował, pomimo mojej rozpacz przy tak tragiczném scenie. Ale ta jedna tylko okoliczność zachmurzyła pobyt mój u pp. Jundziłów, u których często bawiłam z powodu choroby Władzia, zawsze niepokojącej rodziców. Liczna ta, bo dwanaścioro dzieci licząca rodzina, we wzorowym była utrzymana porządku i posłuszeństwie, nie przeszkadzającą jednak

dziecinnęj swobodzie i zabawom. Że dla tylu główek miejsca czasem brakło, choć dom był obszerny, przez parę tygodni spałyśmy we dwie w dużej szufladzie ogromnej komody i raz sprawiło to *coup de théâtre*, kiedy ojciec po wielkim obiedzie chcąc gościom zaprezentować swoją córkę, znienacka otworzył drzwi salonu i wyjął mnie z tej szuflady, zaledwo owinąwszy w szal jakiś.

Nie przypominam sobie dobrze, czy przed urodzeniem czy po urodzeniu Helenki, Władzio, który przez pierwsze lata życia bardzo był wątłego zdrowia, mocno chorował; ale jak dziś widzę jego twarzyczkę tak bladą, że aż w zieloność wpadała, i zagasłe oczy, kiedy raz, przybiegając do domu, zobaczyłam mamę siedzącą przed gankiem i uderzył mnie kontrast pięknej i wesołej natury ze smutną twarzą mamy i wynędzniałem obliczem dziecka, co nieruchome leżało na jej kolanach. Ztąd budziło się u mnie dla brata czulsze przywiązanie i jakby macierzyńskie uczucie opieki nad słabszym, a zarazem ciemne poczucie, że jest co innego niż wesołość i zabawa na tym świecie. W tym czasie zaczęto mi też wrażać pierwsze pojęcia obowiązkowej pracy z lekcyami czytania. Z tych, którzy u nas bywali, wrzili mi się w pamięć tylko dwaj Włosi, pp. Melegari i Scovazzi, bo mi się wydawali weseli, bawili się ze mną i kiedyśmy szli na spacer, zewsząd zbierali mi kwiatki. Raz schodząc do jeziora i idąc wzdłuż ogrodu willi, która należała do jakiejś stariej Angielki, naparłam się koniecznie ślicznej róży co wyrastała w wazonie postawionym na murze. Że nic mi odmówić nie można było, p. Melegari łaską spróbował różę strącić, ale tak szczerze wziął się do dzieła, że i wazon razem z hukiem poleciał na ziemię. Wówczas i on i ojciec jak dzieci śpiesznie uciekli z miejsca katastrofy, a ja za nimi, okropnie wystraszona, bo tą Angielką, której nigdy nie widziałam, nieraz mnie straszono i wyobrażałam sobie, że najmnij mnie zje za taki występpek. Szczęściem wyjechaliśmy na parę tygodni na wieś do dobrej przyjaciółki rodziców p. Mondrot i zdale od przedmiotu mojej obawy miałam czas się uspokoić.

Pamiętam, że kiedy burze bywały na jeziorze, ojciec z upodobaniem im się przypatrywał z ogromnych okien salonu, a czasem lubił, aby wówczas mu grano. Bawił przez jakiś czas w Lozannie znany gitarzysta p. Szczepanowski i często u nas bywał. Ojciec rad słuchał jego muzyki i szczególniej lubił hiszpańską *cachuchę*, którą miałyśmy z małemi Jundziłłami pretensję niby to tańcować. Otóż raz ta *cachucha* akompaniowaną była wiochrem i grzmotami. Ztąd i ja nauczyłam się nie

lękać burzy i podziwiać piękność błyskawic rozdzierających chmury. Ale z tego co zaszło przed wyjazdem do Paryża, mało pamiętam. Lozanna została mi tylko w pamięci jako zarys mego dzieciństwa, i ołożona jasnym słońcem, ożywiona błękitnym niebem i cudną naturą, oraz pieśczętami ojca, który więcej się tam mną zajmował niż później być już mogło. W Paryżu czekało go liczne grono przyjaciół i znajomych, życie pełne ruchu, czasy burzliwe i świetne *Collège de France*. Wśród tego wszystkiego nie było tak często jak przedtem swobodnej chwili dla Misi. Dla tego też kiedy chcę siebie zobaczyć uwieszoną u ręki ojca, słuchającą jak z nieskończoną dobrocią i cierpliwością mojej dziecinnęj wyobraźni tłómaczył prawa przyrodoznania i organizację owadów, jak ze mną podziwiał świeżość kwiatów i piękność poranku, cofam się do *Beau-Sejours* chętniej niż do późniejszych dla niego świetniejszych, ale dla mnie mniej już jasnych i szczęśliwych czasów.

Powróciliśmy tym razem do Paryża zatrzymując się w Bernie i Strasburgu. W Bernie pokoju ojcu nie dałam, aby zobaczyć niedźwiedzie miasta, o których jeszcze w Lozannie mi opowiadał, a w Strasburgu zwiedzając katedrę z przyjaciółmi swemi pp. Grotkowskiemi, wniósł mnie z ich pomocą aż na sam szczyt wieży, wciąż słysząc za nagrodę moje żale, że tak śliczny kościół nieumyty. W Paryżu zajęliśmy dość obszerne mieszkanie na rue d'Amsterdam Nr. 1, które moim dziecinnym oczom większe się wydawało niż teraz, kiedyś je znowu zwiedziła temu lat parę. Ojciec miał pokój salonem przedzielony od mamy pokoju, a środkowe drzwi tego salonu wychodziły do sali jadalnej, gdzie chętniej jeszcze jak w przeznaczonym nam pokoiku główne nasze z Władziem zajmowaliśmy stanowisko. Po obiedzie, jeżeli ojciec był sam, biegłam do niego i przypominałam sobie lozańskie przywileje: opowiadał mi rozmaite rzeczy, zadawał mi coraz żywiej rozbudzającą się wszechstronną ciekawość dziecinną, lub później egzaminował mnie z tego com czytała. A że pierwszą niemal moją książką były: „Życia Sławnych Ludzi“ Plutarcha, tłómaczenia Krasickiego, rozprawialiśmy o historii greckiej i rzymskiej i przypominam jak gładząc mnie ręką po głowie i ulubionym swoim gestem odrzucając mi w tył włosy z czoła, z uśmiechem słuchał jak paplałam o Cezarach, albo zachwycałam się nad moimi dwoma bohaterami, Epaminondasem i Aleksandrem Macedońskim, ubawiony zapewne kontrastem, który stanowić musiała mała moja postać z przedmiotami naszej rozmowy. Były to chwile szczęśliwe, w których obok pobłażania ojcowskiego instynktownie czułam wyższość umysłu, który czasem jednem

słowem wytłómaczył mi trudność jaką, lub rozwidniał to pole wiedzy, której byłam tak chciwa.

Nietylko matka i ojciec, ale przyjaciele i znajomi psuli nas bardzo, nie brakło mi ani na zabawach, ani na ładnych sukienkach i świecidełkach, do których miałam upodobanie. Choć dzieci na piękność mało zwykle zwracają uwagi, cieszyło mnie, że mama tak ładnie wyglądała, szczególnież kiedy czasem ubrała się żeby wyjść z ojcem i z zachwyceniem przypatrywałam się jej toalecie. Ale ojciec nie lubił bywać w świecie. Czasami zdarzało się, że zdecydowany pojechać gdzie z żoną, w ostatniej chwili zmieniał zdanie. Raz, mama ubrana nadzwyczaj do twarzy (jak to zauważała znajoma, która nadeszła właśnie w chwili kiedy fryzjer kończył swoje dzieło), zaczekawszy czas jakiś na ojca, poszła wkońcu do jego pokoju i zamiast znaleźć go wkładającego rękawiczki, zobaczyła siedzącego w szlafroku przed kominkiem. Czy wiesz, moja Celinko, odezwał się, że wcale mi się nie chce jechać na ten wieczór? Jestem trochę zmęczony, czy nie zostalibyśmy się lepiej w domu? Na to mama najspokojniej, a nawet z uśmiechem, poszła rozebrać się i z włosów wypieść ponsowy aksamit, który tak pięknie je zdobił; stało się to z niesłychanym zadziwieniem owej znajomej Francuzki, która tak chętniej uległości pojąć nie mogła u młodej i ślicznej kobiety i przez długie lata jeszcze przypominała jej tę scenę. Jak się wówczas bawiono, ciemne tylko miałam wyobrażenie, bo o wpół do dziewiątej zjawiała się po mnie bona i pomimo żalów i gniewów pakowała do łóżeczka, gdzie tak smutno było zasypiać przy szmerze rozmów, dźwięku muzyki i brzęku filiżanek w salonie. Raz ojciec przytrzymał mnie i pokazał jakiegoś pana w białych rękawiczkach, który siadł do fortepianu; w około słyszałam jak powtarzano imię Szopena. Grał długo, ale zbyt cicho mówić o ile niezrozumiałą była dla mnie ta muzyka, która mi niegodnej żadnego nie zostawiła wspomnienia. Takie samo niestety wrażenie wywarła na mnie prelekcyja ojca w Collège de France, na którą mnie raz mama zaprowadziła. Choć zaciekawiona z natężoną słuchałam uwagę, nic ztamtąd nie wyniosłam prócz uczucia wielkiego upokorzenia, że nic nie zrozumiałam w tém wszystkiem co tylu ludzi tak interesowało, a tego ojciec tłumaczyć mi nie myślał.

Raz jednak ledwo z łaski mojej mądrej osobki jedna jego prelekcyja dziwnym epizodem urozmaiconą nie została. Zobaczyłam gdzieś wiewiórkę i koniecznienapierać się zaczęłam, żeby taką dostać, a ojciec naturalnie zaraz obiecał postarać się o to dla Misi, która nie omieszkała codzień przypominać mu obietnicy. Szedł jednego poranku do

Collège de France, kiedy na moście zobaczył siedzącego Sabaudczyka z wiewiórką. Ucieszony, że przecie dogodzi gorącym moim życzeniom, zapomniał, że na prelekcyę idzie, kupił ładne zwierzątko, a że zimno było, wsunął ją w zanadrze i zapiąwszy dobrze surdut, aby nie uciekła, poszedł dalej. Ledwie uszedł kilkanaście kroków, prelekcyja przyszła mu na myśl, a za to wiewiórka zupełnie wyszła z pamięci. Wchodzi zatem ojciec na katedrę, i mówić zaczyna. Przez czas jakiś wszystko szło dobrze, aż wiewiórka znudzona długim spokojem, albo może zbyt już czując gorąco w sali dobrze ogrzanej i pod ciepłym surdudem, kręcić się żywo zaczęła szukając wyjścia z ciemnej kryjówki. Rzecz ciągnąc dalej o literaturze słowiańskiej, czuł professor na piersiach wszystkie skoki i poruszenia wiewiórki. Ale nagle pogorszyło się i tak już nieprzyjemne położenie: wiewiórka trafiła w otwór do rękawa i żywo zsuwać się zaczęła poczęła; ojciec drugą ręką co prędzej rękaw u dołu uchwycił, skrzył i trzymał mocno, lekając się co chwila, aby znienacka mieszkanka lasów, wylatując z rękawa profesora jak niesłychane zjawisko, wśród zadziwionej publiczności jednym skokiem się nie znalazła. Przy takim pasowaniu się z niewygodnym gościem, dalej prelekcyę prowadzić i kończyć musiał, dziwnym tym kłopotem okupując moją fantazyę. Tak drogo opłaconą wiewiórką niedługo jednak cieszyłam się, okazała bowiem przy całej zwinności i gracyi, nadzwyczaj dziką i złośliwą naturę. Parę razy przegryzła druty klatki, w nocy wypadła i szkody narobiła, raz ojcu całą poduszkę pod głowę wygrzyzła, a gdy w końcu zamiast podawanego jej orzecha, rękę mocno mi ukąsiła, wydaloną ją z domu i nadal na pieskach musiałam poprzesztawać.

(D. c. n.).

HONOROWY STÓŁ KRZYŻACKI.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW.

przez M. . a.

(Dalszy ciąg).

— A to co za radziejowska pani? — żywo zapytała stara matka, a w głosie jej dźwięczało coś jakby zazdrość, że ktoś inny prócz niej opatrywał i uczył jej synaczka.

— To żona Łoktkowa Władysławowa księżna kujawska, co ją ubogą i sierotę niby, przecho- wują wdzięczni ludzie w Radziejowie, którzy jesz-

cze ojca jęj księcia kaliskiego pamiętają; a ona zacna nad wszelkie zacności leczeniem a mądrością ludziskom się odwdzięcza, tak, że na dalekie okolice gdzie kto w co złego popadnie, jużci do Łoktkowej pani radziejowskiej po ratunek bieży. Ona każdemu zawsze poradzi, jak już nie czém to choć cudownemi słowy a modlitwą, że się od nich lżej nieszczęśnikowi stanie, a jak on jęj dziękuje, to ona każe nie dziękować jeno Bogu, a Łoktkowi odwdzięczyć jakby sposobność się zdarzyła. Tak mówiła i mnie świątobliwa pani, więcem takie sobie postanowienie zrobił, że się odwdzięczę jeślibym gdzie spotkał kiedy księcia Łokcia Władysława co mu dzielnicę jego książęcą wydarto, a on przepadł pod przemocą, długo wprzód nawojowawszy dzielnie. A zaklął się, że nie już swą kujawską i sieradzką ziemię, ale całą Polskę jak ongi była za dawnych Bolków królów, odbierze i królestwem uczyni potężném, bo ona cała jego jest własną dzielnicą. I oto gdym ja się w służbę krzyżacką dostał i posłano mię z tym ot rycerzem dla kolebki tamtęj na Litwę odstawienia, to żem ciągle o tym Łokciu myślał, uwidziało mi się że to on tam w klatce w owym powozie jest wiezion. Chciałem go uwolnić, a jak mię rycerz niby zamysł mój przeniknąwszy, mieczyskiem swym płatnął, bo to pewnikiem on płatnął, tom już najpewniejszy był że Łoktek tam siedzi... a no ot!... — Hans który tak prawiąc u nóg matczynych na polanie sporém siedział, westchnął przy ostatnich słowach i głowę znużoną bólem na matczyne kolana schylił, robiąc rękoma osłabionemi taki giest, który jakiś zawód oznaczał, niby że w tych rękach niema nic! Stara biedna matka przygarnęła ostrożnie głowę tę do piersi sobie, mówiąc uroczyście:

— Niechże Bóg wszechmocny pani tę Łoktkowę i później w niebie i wprzód na ziemi królowanie szczęśliwe da i męża jęj zwycięzcą nad wszelkimi wrogami powróci i szczęśliwość a pociechę wszelaką w mężu i w dziatkach i w poddanych niech jęj ześle! Boć gdybyś przez nią, dla zacności jęj, o mężu jęj nie myślał, toby cię rycerz mieczem nie ciął, jabym cię we krwi omdlałym w lesie nie znalazła, zatrucia byś nie uszedł i jabym cię tu nie miała gdzie z dawna już to prawo Jatwież musiała mi dać, że rannych jakich jeno dostanę opatruję i jabym nie odnalazła duszy mojej! synaczka mego miłego! A no odnalazłam cię dziecko moje! niechże Bóg będzie pochwalon! — Gdy stara matka tak zwolna i ze łzami mówiła, pieścąc syna jakby maleńką jaką dziecięcą, a wójacy powspierani wpół leżąc na słomie, z zajęciem patrzyli i słuchali, a mały Hans wnuk skulony i zapomniany w najdalszym kącie, dziwnie jakoś

płonącemi oczyma ukradkiem na babkę i stryja poglądał i modłów ich słuchał, zwolna tymczasem wszczął się szelest jakiś coraz mocniejszy tam, gdzie bezwładny i bezprzytomny z pozoru leżał rycerz shańbiony i ujrano powstającą z cieni postać olbrzymiego męża w żelazie... Nie zupełnie wszakże lecz tylko na kolana dźwignął się rycerz, na kolanach czołgając się zwolna i z trudem, wśród ogólnego głębokiego milczenia wyczołgał się na środek izby, przed przytulonego do kolan matki rannego Hansa knechta krzyżackiego, i tu podniósłszy w górę ręce i oczy krwią zasłże i twarz czarną od słońce krajów gorących i od bólów i cierpień świeżych serdecznych, począł uroczystym potężnym jeszcze głosem ową *spowiedź publiczną*, w tej naturalnej pierwotnej formie, jak z pełni skruszonego ducha czynili ją pierwsi chrześcijanie *).

— Ja grzesznik mający umrzeć spowiadam się Panu Bogu wszechmogącemu w Trójcy Świętej jedynemu, i wam chrześcijanie bracia! iż mieczem uderzyłem dla zabicia Hansa i Waltera, knechtów, za com na honorze sam zabity jest! Za ten grzech mój błagam o przebaczenie Boga wszechmogącego w Trójcy Świętej jedynego i was bracia chrześcijanie i duszę Waltera knechta i ciebie Hansie! Dla miłości Boga odpuście mi! Moja wina! moja wina! moja wina! — skruszony chrześcijański rycerz ogromny, z rykiem strasznego płaczu wymówił ostatnie wyrazy, uderzając się złożoną pięścią prawicy po trzykroć z całych sił w pierś potężną, odpowiadającą głuchym jękiem na te uderzenia... i chylił się rycerz sztywny jakby z kamienia wykuty, powoli do stóp knechta Hansa... Ażeby zaś wiedzieć i zrozumieć jak wielką w owę chwilę była chrześcijańska pokora tego męża, trzebaby najprzód wiedzieć jak bardzo, jak bez granic, jak szalenie i dziwnie dumnymi bywali tacy rycerze. Ranny Hans powstał:

— Niech Bóg tak wam przebaczy jak ja przebaczam rycerzu — rzekł — a ku pocieszeniu duszy waszej wiedzcie, iż i Waltera nie jesteście zabójcą acz gorzej zraniliście jego niż mnie, tak, że się ruszyć tam z za komina nie może i leży tylko i dyszy.

— Niechajże Bóg pochwalony będzie iż nie dokonany był zamysł mój — rzekł rycerz — i wam

*) W pierwszych wiekach gorącej wiary, chrześcijanin spotrzegłszy się iż popełnił grzech, przerażony i wiedziony naturalnem uczuciem skruchy i miłości, z jakiego i dziś dobre dziecko przed ojcem lub matką winy wyznaje, nieraz głośno z płaczem wyznawał swą winę, błagając o przebaczenie Boga którego obraził, ludzi którym dał zgorszenie i tego kogo pokrzywdził.

bracie Hansie niech Bóg nagrodzi miłosierdzie wasze nad umierającym grzesznikiem.

— A cóż to wam jest panie rycerzu? — zapytał Hans. — Czyliż otruci jesteście lub ranieni tak srodze, iż koniecznie umierać wam trzeba? Czyliż już i matka moja, tak biegła w leczeniu że Waltera może wyratuje, was by poratować nie mogła? — tak mówiąc pomagał litościwy Hans rycerzowi powstać z klęczek i na posłaniu się położyć, a czynił to z uprzejmości chrześcijańskiej tylko, dla okazania iż się na rycerza nie gniewa, bo co pomódz mu naprawdę, to i nie mógł bardzo, gdyż chwiało się sam na osłabłych nogach.

— Tak, trzeba mi umrzeć koniecznie — grobowym głosem rycerz odpowiedział. — Otrute jest serce moje i zraniony mój honor rycerski. Niema leków na takie rany. — I to mówiąc odsunął rycerz jedzenie które znowu próbując lepszą chwilę, podawała mu niewiasta, zaciął usta i odwrócił się twarzą do ściany. Wszyscy zrozumieli że rycerz postanowił nie jeść i nie pić więcej w tym życiu. Niewiasta spojrzała na Hansa, Hans na nią, zdawali się oczyma naradzać, aż wreszcie rzekł Hans.

— Panie rycerzu! widzi mi się że grzech to jest dla chrześcijanina co czynić zamyślacie! — a na to rycerz odrzeczł głosem ponurym:

— Dałem W. Mistrzowi krzyżackiemu słowo rycerskie, iż powóz ów powierzony mi, doprowadzę nietknięty do litewskiej stolicy *Kiernowo* zwanej i tam oddam jego zawartość w ręce młodej małżonki Gedyminowej, lub umrę; widziałeś co się stało, muszę umrzeć...

— Panie rycerzu — rzekł Hans nieśmiało — nie raczyliżbyście mi powiedzieć, czyli to o samą oną kolebkę honor wasz zraniony jest, lub też o zawartość jej jakową? — Hans, prosty sługa krzyżacki nie śmiałyby nigdy w innych okolicznościach badać tak śmiało dumnego rycerza, ani nawet mówić do niego niepytany, a rycerz pewnoby komu innemu nie odpowiedział nawet wcale; lecz w obecnych okolicznościach, pytania Hansa, były owszem dowodem chrześcijańskiej jego uprzejmości dla swego niedoszłego zabójcy i dla tego też rycerz odpowiadał mu uprzejmie także, głosem chrześcijańską pokorę znamionującym:

— Powóz sam niczem jest; o zawartość jego honor mój skonał.

Gdy rycerz tak powiedział, wtedy Hans stojący nad nim leżącym, począł przestępować z nogi na nogę z jakiegoś niepokoju tajemnego i z nieśmiałości zaczął palce sobie jedną ręką u drugiej wyciągać i wyłamywać, jak to wszystko i dziś jeszcze robią chłopci rozmawiając z wyższymi od siebie, gdy w rozmowie téj rzecz idzie o coś bar-

dzo drażliwego. Nareszcie, namyśliwszy się, rzekł Hans chytrze, z pod oka patrząc na rycerza:

— Panie rycerzu, kiedy macie umrzeć, to przebaczyście wy mi naprzód z góry com ja kiedy bądź przeciw wam zawinił, tak jak ja wam przebaczyłem zamierzone na mnie, z łaski boskiej nie spełnione zabójstwo, a wtedy, ja wam powiem panie rycerzu *coś* co może jeszcze i honor wasz poratuje...

Rycerz drgnął od stóp do głów, żywo twarz od ściany odwrócił, i płomiennymi gorączką i rozpaczą oczyma, spojrzał w Hansa oczy jakby mu przez nie w głąb duszy chciał zajrzeć, a potem, snadź nadzieję jakąś w oczach tych zaczerpnawszy dźwignął się znów na kolana, złożył do modlitwy wielkie ręce i wzniosłszy oczy płomienne w górę, z wyrazem gorącego nabożeństwa na ciemnej twarzy, mówił powoli, uroczyście:

— Oto ja grzesznik zhańbiony, niegdy rycerz bez skazy, pan na Richartsdorffie, ślubuję Tobie Panie Boże kościół wystawić, a młodzieńca tego, Hansa, za syna mego przybrać, dopomódz mu w rycerskich sprawach i do zaszczytu nad zaszczytami do chrztu rycerskiego go doprowadzić, jeżeli cudem Twoim o Boże honor mój uratowanym zostanie!... Mów co masz rzec Hansie! — dodał rycerz po chwili, przed, którą w cichej modlitwie Panu Bogu się polecał; ale nie wstawał z klęczek, chcąc snadź wyrok swój tak usłyszeć z wielkiej pokory.

Hans, z szeroko rozwartymi oczyma wysłuchawszy poprzedniego ślubowania *) rycerza, drżący cały ze wzruszenia na tak przedstawiającą się alternatywę swych losów, gdy i matka jego padłszy na kolana i twarz w dłonie ukrywszy gorąco się modlić zaczęła, tak odpowiedział:

— Wielmożny panie rycerzu! ja sam nie wiem com zrobił, i czy *to* co w powozie było, żywe i całe jest, albo nie: bo myśląc zawsze iż Łokta ratować powinienem, gdy ocknąwszy się z mego omdlenia z rany, dowiedziałem się jeszcze przed świtem, że oddział nasz odurzony jest i powiązany, uprosiłem tę matkę moją aby mi pomogła więźnia ratować. Matka moja com jej jeszcze wtedy matką nie znał, podmówiła trzech ludzi tutejszych których od śmierci wyleczyła niegdyś, a oni przez wdzięczność poszli ze mną do was, do powozu który stał zdala od wrzeszczącej, jedzącej i radującej się bandy, i bokiem ku zarośłom zwrócony. Ja pokazałem im jak się kolebka otwiera, bom to ja przecież z początku podróży naszej nieraz koło

*) Śluby takie i t. p. w wielkiem były użyciu w ciężkich przygodach w rycerskich czasach; nie było wypadku ani jednego, aby nie zostały wypełnione z winy ślubującego.

waszego namiotu panie rycerzu strażował i podglądałem z miłości dla Łoktka, to wiem jako brałście się do tego. Więc wyjęliśmy skrycie z kolebki to, co klatkę Łoktka sądziłem i... jest ci to całe.

— Gdzie to jest! — krzyknął rycerz na nogi się zrywając.

— Tu, dobrze od ogniska i od wilgoci płachtami owinięte a od ludzkiego oka suchuteńkim mchem powierzchni nakryte, boć wiem jakości o to dbali — mówił Hans wskazując na ową gromadę płacht i mchu w głębi izby, kędy to i sam

rzu podpatrzyłem, ale... w klatce tój nie Łoktek siedzi... albo zakłęty jest chyba... a i dychać tam trudno jest, więc nie wiedziałem sam co z tém zrobić, ni temu dać jeść ni pić... i boję się czym temu niechcąc krzywdy jakiej nie zrobił?... nie jadło, nie piło... czyliż żywe jeszcze?... — tak półgłosem kłopotał się Hans, a rycerz drżał jak w swém życiu nie drżał nigdy, a tymczasem odpadł mech, odjęto płachty jedna po drugiej coraz wolniej, wszyscy obecni wstrzymali oddech, wyciągnęli szyje i... z pod ostatniej czystej płachty zabłysło... zabłysło coś w istocie podobnego do sporęj skrzyni z pole-



Niemcewicz
Grobowiec Mickiewicza na cmentarzu w Montmorency (str. 450).

leżał niedawno. Rycerz na wskazanie Hansa skoczył ku owój stronie z rękoma wyciągniętymi i z takim niby wyrazem, jak matka Hansową, gdy do odnalezionego syna wyciągała ramiona. I poczęli oba rycerz i Hans żywo a ostrożnie najprzód mech, a potem płachty odejmować, jak raz tak ostrożnie, jakby pod nimi miała sarta jajec luźno leżących się znaleźć. A przytém mówił Hans.

— Jużci pewno Łokciowi nie radbym ja krzywdy uczynić ni bólu, więc się drewniaą ową skrzynię ostrożnie tu z klatką przeniosło, tegom pewien, i dobrzem ją też roztworzył, bo to u was ryce-

rowanego żelaza, czy stali w barwy różne strojnój, czy jeszcze z czego innego może... Rycerz wcale nie z jakiego uszanowania, lecz poprostu z wielkiego wzruszenia osunął się na kolana nie mogąc się na nogach utrzymać, i delikatnie, ogromnemi palcami począł dotykać dziwnych misterności, esów i floresów różnych, wyrobionych sztucznie w jedném miejscu z boku owęj błyszczącej powierzchni, aż podniosła się zwolna część klatki zwierzchniej...

— Żyje li jeszcze? boć od onegdajszego wieczora ni jadło ni piło?... — takie pytanie drżało w piersiach wszystkich zapatrzonych widzów i słusznie, bo

sam rozum zdrowy powiadał, że rycerz nie mógł żywić więźnia swego kiedy indziej, jak tylko raz na dzień wieczorem, gdy się wraz z całym powozem w namiocie swym zamykał. Wszystkie oczy wyteżyły siły swoje na widok uchylającej się klatki dziwniej, bo powietrze chyba przez nią nie przechodziło... i ujrano coś co w istocie jeśli było Łoktkiem to zaklętym chyba, a zresztą ani do Łoktka człowieka przecież, ani do niczego na świecie nie było podobnem... a może i było, a to do plecionki ze sporych kwiatów, gdyby je kto równo i pięknie rzędem jeden przy drugim ułożył. Ale z barw jedynie istniało owo do kwiatów podobieństwo, bo naprawdę żaden z owych kwiatów kwiatu nie udawał, a był przeciwnie bardzo gładką i błyszczącą sztuczką metalu, kości, czy drzewa: każda z tych sztuczek była barwy odmienniej, jednej z tych jakie w tęczy na niebie widać... a więc i do tęczy niby to trochę, ale tylko z barw było podobne to co ujrano pod błyszczącą powierzchnią. Oddech zamarł w piersiach patrzących, gdy rycerz drżąc wyciągnął wskazujący palec prawicy i zdaleka, ostróżnie, jakby ukąszenia się lękając dotknął nim jednego z owych niby kwiatów barwistych... głos dziwnie miły, ale niezrozumiały, z przeciągłym jak echo westchnieniem odpowiedział na to dotknięcie.

— Żyje! — krzyknęto w całej izbie z radośnym wybuchem; wszystkie piersi odetchnęły. Rycerz był tak niezmiernie wzruszony, że się ze wszystkiemi na ziemię osunął, przez chwilę chwycił oddech jakby po długim biegu, potem garścią suchego mchu otarł sobie z twarzy i czoła pot zimny który mu oczy zalewał, potem starannie płachtą otarł ręce, wreszcie odpocząwszy podniósł się znów, na poły wszakże tylko, bo gdyby cały wstał, toby musiał do owęj niby klatki się schylać potężnie, i rozpoczął dalsze experymety, a wszyscy patrzący wiedzieli, że idzie o to aby dokładnie się przekonać jak się ma to co w klatce siedzi. Począł więc rycerz palcem każdego barwnego kawałka metalu dotykać, po kolei, jednego po drugim porządkiem i na każde dotknięcie otrzymywał odpowiedź mniej więcej do owęj pierwszej podobną. Gdy tak do końca owego szeregu barw doszedł, tedy rycerz wstał, błyszczącą powierzchnią nakrył znów owe barwy, tak, że widać było jedynie klatkę, a raczej ciemną skrzynię błyszczącą, potem obejrzał rycerz troskliwie ze wszystkich boków tę skrzynię, potem wezwawszy Hansa małego do pomocy, zapakowali napowrót ostróżnie ten kosztowny przedmiot, w prostą już drewnianą skrzynię miękko wewnątrz a grubo wysłaną, w której on i wprzód jechał, a którą teraz Hans mały z babką i chorym stryjem przyniósł ze schówka. Dopiero tę zwierzchnią drewnianą prostą skrzynię szczel-

nie zamknawszy, wyprostował się rycerz po ciężkiej w istocie pracy i z głębi szerokiej piersi odetchnął: był zdrow, silny i dumny znowu, albowiem honor jego był bez skazy. Wszyscy to rozumieli, tak dalece, że stara niewiasta podała mu napój i jadło. Ale Richartsdorff najprzód Hansa knechta uroczyście uściskał i synem go nazwał mówiąc:

— Synu Hansie von Richartsdorff! ojcem mi się stałeś! albowiem winien jestem tobie życie i więcej stokroć niż życie, bo honor! Gdybyś uczciwą miłością dla Łoktka natchniony, nie uniósł był skrzyni tej z powozu wczas, tedy pierwsze uderzenie owo rozbójniczej siekiery które powóz strzaskało, byłoby strzaskało i skrzynię, a z nią i mnie, niweczając mój honor. Tedy lubo wszystko spełnił oczywiście jakom rzekł, to przecież nie odwdzięczę ja ci się i tak dostatecznie nigdy; gdyż to jako przyszły szlachcic, pan na Richartsdorffio i rycerz wiedzieć masz, że w podobnych sprawach, idzie rzecz nie o przedmiot wcale, który zgola może sobie najlichszą marnością być, jako i ta gadająca skrzynia, ale o słowo rycerskie! O tém wiedz, i pamiętaj to! — To powiedziawszy, zabrał się rycerz gorliwie do jadła, bo przebyte umartwienia śmiertelne, jeszcze wzmogły posiłku potrzebę. Musiał wszakże Hans koniecznie na przeciw niego sięść i jeść z nim z jednéj misy i ojcem go odtąd nazywać. Ale zanim Hans von Richartsdorff na ten szczebel wyższości wstąpił, poszedł on wprzód z wolą ojca uściskać dotychczasowych swych towarzyszy żegnając się z niemi niejako, ponieważ oni na dawnym niższym szczeblu pozostawali. Wszyscy ściskali go serdecznie i szczerze, mówiąc jeden po drugim:

— Miałeś Hansie zawsze serce uczciwe, kochałiśmy cię towarzyszem, żałowaliśmy cię sądząc zabitym, życzymy ci szczęścia i powodzenia gdy powstajesz z pomiędzy nas: Bóg niech będzie z tobą i z ojcem twoim, który też musi być ciebie wart, kiedy się poznał na tobie.

Gdy następnie zasiadłszy po dwóch stronach kłody na której postawiono misę ojciec i syn Richartsdorffowie spożywali pierwszą wspólną ucztę, ten ostatni nieśmiało zapytał:

— Panie ojcie! Czyliż to więc wcale w skrzyni tamtej w istocie Łokcia polskiego księcia nie ma? Nie onże tam z głębi się odzywa? A może jest zaczarowany i zaklęty?

— Nie — odrzekł rycerz — gdyby w tém były czary, nie przyłożyłbym ja ręki do tego, bądź spokojny. Ja o księciu polskim tym ani wiem, a słysząc jakieś imię jego w rozmowach z Walterem powtarzał, a widząc twoje koło kolebki mnie powierzonej zabieg i podglądowania, posadziłem cię właśnie o znowę z tym księciem, a jego zamiar

porwania téj oto skrzyni i temu to zabiegając uderzyłem was mieczem, co oby Bóg mi odpuścić raczył. Skrzynia ta błyszcząca i ciemna bo z polerowanego drzewa zamorskiego sztucznie bardzo zrobiona, nie zawiera w sobie wcale ani Łoktka ani żadnej żywej istoty.

— A to cóż w niej gada? zamorskim jakowymś językiem? — zdumiony Hans zapytał.

— Nie gada nic — odpowiedział rycerz — tylko dźwięk za dotknięciem wydaje, bo ta skrzynia jest to instrument muzyczny, coś niby to a nie to co piszczałka, trąba, kobza i harfa która też pod palcami przecież dźwięczy, a zaś nazwano ten instrument *clavi-cord* *). Jest to rzecz niebywała jeszcze pono na świecie i dopiero co wymyślona i uczyniona przez mądrych a sprawnych w kunsztach ludzi, bardzo a bardzo daleko ztąd. Takich instrumentów będą ludzie ci robić dużo, a królowie i inni możni panowie będą im za nie grube pieniądze płacić, aby królowe, kasztelanki i inne wielkie panie, miały czém podczas wojny w nieobecności rycerzy mężów, krewnych i śpiewaków, nudy swe rozrywać po zamkach samotnych. Bo jest też przy tém i księga z opisem dokładnym jak trzeba palcami tego dotykać, aby śpiewało niby śpiewak wędrowny, a nawet i współ z panią śpiewać to umie, o czém ja sam już się miałem sposobność przekonać. Takich instrumentów zrobiono dotąd ledwo kilka, a z tych ten oto jeden z najpierwszych, za wielką okrutnie cenę nabył W. Mistrz krzyżacki, aby go podarować żonie Gedyminowej, który to Gedymin mieszka w litewskiej stolicy *Kiernowie* u boku litewskiego księcia Witenesa. Otóż stało się, że się troszczył W. Mistrz komuby powierzył przeprowadzenie podarku tego przez kraj dziki pogański bez dróg i pełen niebezpieczeństw. A było to wobec wielu rycerzy z całego świata zgromadzonych około W. Mistrza i oczekujących na uroczystość Honorowego Stołu, mającą nastąpić jak zawsze przy wyprawie na pogaństwo, która się spóźniała. Słyszając tedy o nadzwyczajnych niebezpieczeństwach grożących podróżnikowi w tych stronach dzikich, zerwało się na raz kilkunastu rycerzy ofiarując się na wodzów konwoju mającego ów podarek przeprowadzić. Bo każdy myślał sobie, że zamiast bezczynnie a kosztownie w Prusiech przy W. Mistrzu na uroczystość czekać, lepiej będzie przez tenże czas nowemi rycerskimi czyny w groźnej téj podróży się odznaczyć, tém pewniej sobie przez nie do uczestnictwa przy Honorowym stole drogę to-

rując. A ze wszystkich tych rycerzy ja się zerwałem najpierwszy i mnie też dowództwo powierzonym zostało. — Tak mówiąc zwolna, podjadł rycerz tymczasem i wstawszy a odpawiwszy wspólne modlitwy jak nabożnemu krzyżackiemu pocztowi przystało, położył się rycerz dla spoczynku i rannemu Hansowi położyć się też koło siebie kazał. Milczenie zaległo sporą izbę, wśród którego prędko w sen popadli ranni słudzy krzyżaccy, czego dowodziły mocne senne ich oddychania; zdawało się że wszyscy w izbie posnęli. A wtedy coś bardzo lekko dotknęło ramienia Hansa, który natychmiast roztworzywszy oczy ujrzał przy dogasającym zarzewiu że to rycerz nie poruszając się, dotykał jego ramienia. Pokazało się, że oba Richartsdorffy nie spali. Ojciec szepnął:

(D. c. n.).

Przygody Myśliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

(Dalszy ciąg).

W Afryce, ojczyźnie swojej, perlica jest bardzo pospolita, przyrodnicy odróżniają kilka gatunków tych ptaków. Oswojone mało bardzo się różnią od dzikich; czasem tylko zmieniają barwę upierzenia, bywają jaśniejsze, nie centkowane, a nawet zupełnie białe. I inne ptactwo hodowane jak indyki, kaczki, pawie zmienia tak samo barwę ciemniejszą na białą, a trzeba dodać, że i w stanie dzikim można napotkać, nietylko pomiędzy ptakami, lecz i wśród zwierząt innego rodzaju, podobne albinosy.

Ale powróćmy do naszych perlic. W Afryce południowej żyje perlica czubata *numida cristata*, trochę mniejsza, o piórach ciemniejszych, tak samo centkowanych. Najwybitniejszą jej cechą jest ozdoba głowy. Perlica zwyczajna ma szczególne narośle na dziobie, jedną na wierzchu, dwie u spodu, czubatej brak tych dodatków, za to na głowie jej sterczy wspaniały czub, złożony z ciemniutkich piórek czarnych, który jej dużo wdzięku dodaje.

Perlice żyją gromadnie i zbierają się czasem w ogromne stada. Zazwyczaj biegają po ziemi, ale spłoszone chronią się na drzewa, a w nocy śpią na niskich gałęziach. Głównem ich pożywieniem są różne nasiona, jagody i drobne ślimaki.

Na kilka godzin przed ową przygodą z krokodylem i antylopą wodną, młodzi myśliwi przemy-

*) Szajnuochia w dziele swém p. t. Jadwiga i Jagiełło, wspomina o klawikordzie ofiarowanym dawniej jeszcze przez krzyżackiego Mistrza, jednej W. Księżnie litewskiej.

śliwali właśnie nad t \acute{e} m, coby sobie przygotowa \acute{c} na wieczere \acute{z} , gdy nawinę \acute{a} się na łące liczna gromadka perlic czubatych. Wszyscy poskoczyli do broni i z wielkim zap \acute{a} łem rozpoczęli polowanie. Nie łatwa to jednak sprawa upolowa \acute{c} perlicę; ptaki te rzadko kiedy wznoszą się w powietrze, a jednak tak szybko umykają, że dogonić ich prawie niepodobna, przyt \acute{e} m niezmiernie s \acute{a} czujne i podejść się nie dają żadnym podstępem.

Jest jednak spos \acute{o} b i na nie; z pomoc \acute{a} zwinnego psa można je dogonić i wtenczas, widząc, że nie potrafią się uratowa \acute{c} zwyczajną ucieczką, zrywają się do lotu i siadają na pobliskich drzewach. Pies, ułożony do takiego polowania, powinien stan \acute{a} ć pod drzewem, na któr \acute{e} m siedzi perlica i szczekać, póki nie nadejdzie myśliwy ze strzelb \acute{a} . Ptak nie rusza się z gałęzi, na któr \acute{e} j się bezpiecznym czuje, gdyż wie, że go tam pies nie dosięgnie; nie zwraca więc uwagi na zbliżenie innego, groźniejszego nieprzyjaciela i ten z łatwością może wymierzyć i strzelić.

Myśliwi nasi znali dobrze ten spos \acute{o} b, mieli psa wybornie ułożonego do takiej pogoni, a gdy ujrze \acute{l} i gromadkę perlic, zaczęli ślinkę połykać, na myśl o wyborn \acute{e} m pieczysem, którego pewni byli na wieczere \acute{z} . Wszystko poszło jak z płatka; perlice spłoszone przez psa wzniosły się w powietrze i usiadły na gałęziach wielkiej akacyi, rosnącej nad brzegiem rzeki, pies stan \acute{a} ł na straży, nasi myśliwi mieli czas dobrze wymierzyć, wszyscy trafili do celu i przynieśli sześć pięknych perlic do obozu. Mieli więc przepyszną wieczere \acute{z} i zostawili sobie resztki pieczystego na jutrzejsze śniadanie.

Akacye nadbrzeżne, na których się usadowiły perlice, musiały być ulubion \acute{e} m schronieniem skrzydlatej rzeszy, gdyż młodzi myśliwi, siedząc na czatach w pobliżu, widzieli tam mn \acute{o} stwo rozmaitych ptaków. Pełno było dokoła roślin, wydających ziarna, któr \acute{e} mi się żywią grubodzioby, nie brakło także drobnych owadów i g \acute{a} siennic na pokarm dla szpaków i innych ptaszków owadożernych.

Wśród tych niezliczonych ptaków, jeden szczególnie zwrócił uwagę młodego przyrodnika niezwykłym swoim głosem. Latając ponad łąką, ustawicznie powtarzał wyraźnie te trzy zgłoski: *edolio!* Wyraz ten stał się nazwiskiem ptaka; tak samo jednostajny krzyk kukułki utworzył nazwę j \acute{e} y we wszystkich językach. A trzeba wiedzieć, że afrykański ptak *edolio* zbliżony jest bardzo do naszej kukułki, chocia \acute{z} różni się od ni \acute{e} j powierzchowną postaci \acute{a} . I tak naprzykład dowiedziona jest rzecz \acute{a} , że składa jaja w cudze gniazda i powierza

ptakom innego gatunku wychowanie swych piskląt.

Krajowcy afrykańscy nazywają go tak \acute{z} e ptakiem noworocznym i dziwne o nim opowiadają baśnie. Utrzymują naprzykład, że jest *edolio* odrębnego rodzaju, który się pokazuje raz do roku w pierwszych dniach Stycznia, że w \acute{o} wczas wielki gł \acute{o} d cierpi i woła o jedzenie, a drobne ptasz \acute{e} ta zbiegają się na gł \acute{o} s jego i znoszą mu pokarm ze wszystkich stron.

Buszman i Zulus wierzyli w to święcie i młodzi myśliwi dzielili zrazu ich przekonanie, oprócz jednego przyrodnika, który wiedział zkąd powstała ta bajka i wytł \acute{o} maczył to towarzyszmom. Ten osobliwszy ptak noworoczny, jest to młody *edolio*, który w rzeczy sam \acute{e} j o t \acute{e} j porze wychodzi z gniazda i zaczyna ju \acute{z} podlatywa \acute{c} . Nie podobny jest wtenczas do rodziców i zt \acute{a} d uchodzi za inny rodzaj ptaka. Nic w t \acute{e} m niema dziwnego, że jest zgłodniały i woła o pokarm, ale nie można w to wierzyć, aby wszystkie ptasz \acute{e} ta zlatywały się na gł \acute{o} s jego; czyni \acute{a} to tylko przybrani rodzice, któr \acute{z} y s \acute{a} tak \acute{z} e do niego nie podobni. Zt \acute{a} d zapewne urosło całe to śmieszne podanie. „Ptak *edolio*, powiedział Hans na zakon \acute{c} zenie opowiadania, składa zazwyczaj jaja swoje w gniazdach mniejszych od siebie ptasz \acute{e} t. Trzyma je w dziobie, tak samo, jak i nasza kukułka i wpuszcza ostr \acute{o} żnie w gł \acute{o} b upatrzonego gniazdka“.

XLII.

Antylopa czerwona.

Łąka, któr \acute{a} młodzi podróżnicy przebywali teraz, trzymając się ciągle biegu rzeki, zwę \acute{z} ala się stopniowo; po obu stronach wznosiły się poprzecznie liczne pasma gór, zbliżając się do siebie coraz wi \acute{e} c \acute{e} j, a w niektórych miejscach dotykały prawie brzegów. Zamiast jednostajnej równiny, przesuw \acute{a} ł się teraz przed oczyma naszych myśliwych szereg w \acute{a} wozów, zamkniętych pomi \acute{e} dzy wyniosłemi wzgórzami.

Wszystkie te w \acute{a} wozy roiły się mn \acute{o} stem zwierza wszelkiego rodzaju i można tam by \acute{o} na ka \acute{z} dym kroku napotkać huk zwierzyny. Ale były to wszystko najpospolitsze antylopy i inne przezuwające zwierz \acute{e} ta, które ju \acute{z} nieraz widzieli nasi myśliwi, nie chcieli więc tracić nabojów bez potrzeby i tylko od czasu do czasu zabijali parę sztuk, a \acute{z} eby mieć świe \acute{z} ą pieczeń. Kongo ich upewnia \acute{l} , że gdy min \acute{a} góry, ujr \acute{z} ą przed sobą rozległe pastwiska, po których przechadzają się słonie, girafy, bawoły, a myśl \acute{a} c o t \acute{e} m, młodzi \acute{e} ncy nasi tak pogardliwie spogl \acute{a} dali na stada antylop

skaczących, krowich, pstrokatych, jak gdyby to były najpospolitsze woły i barany.

Jechali tak aż do kotlinki, wzniesionej na kształt tarasu i dochodzącej do samego wybrzeża, lecz tu zatrzymali się nagle, ujrzawszy przed sobą gromadkę antylop, niepodobnych wcale do tych, jakie dotąd napotykali. Młodzi myśliwi postanowili skorzystać z tej sposobności i natychmiast urządzić walne polowanie. Nie wątpili ani na chwilę, że zwierzęta te należały także do rodzaju antylop, chociaż je po raz pierwszy widzieli; dość było spojrzeć na postać ich pełną lekkości i wdzięku, a zwłaszcza na piękne rogi, stanowiące cechę najwybitniejszą tej rodziny.

Antylopy te niezbyt wielkie, wzrostu zwyczajnych jeleni, a zatem mniejsze znacznie od pstrokatych, mogły mieć około 90 centymetrów wysokości od przednich kopyt do karku, w tyle zaś trochę więcej. Wprawdzie niektóre gatunki antylop mają tył niższy od karku, ale to się zdarza tylko wyjątkowo, zazwyczaj tylna część tułowia jest znacznie wyższa.

Myśliwi nasi znali ze słyszenia te piękne antylopy, chociaż ich jeszcze własnymi oczyma nie oglądali; na pierwszy rzut oka Henryk i William zawołali jednogłośnie:

— Antylopy czerwone! — tak bowiem nazywają je boerowie.

— Po czemżeście je poznali? — zapytał przyrodnik z uśmiechem.

— Po maści — odpowiedzieli młodzieńcy bez zająknięcia.

W rzeczy samej antylopy te miały sierść czerwono-kasztanową, na całej zwierzchniej części ciała, na bokach coraz jaśniejszą, a białą na brzuchu, tylko na udach ich i do połowy ogona biegły wąskie czarne pręgi. Jaskrawa ta barwa zdaleka była tak widoczna, że każdy zapewne zawołałby tak samo, jak William i Henryk: — Antylopy czerwone!

— A jednak nie zawsze tak łatwo poznać można ten gatunek po maści — odezwał się młody przyrodnik — są także i inne antylopy, które mają maść jasno kasztanową i moglibyście się omylić. Ale ja po rogach widzę że macie słuszność. Są to rzeczywiście tak zwane antylopy czerwone, przez krajowców zwane *pallah* a przez uczonych *antilopa melampus*.

Myśliwi nasi spojrzeli uważniej na rogi, mające odróżniać ten gatunek antylop od wszystkich innych. Długość ich wynosiła około pięćdziesięciu centymetrów, miały kształt lutni, przypominały rogi antylop skaczących, ale na pierwszy rzut oka łatwo było spostrzedz znaczną różnicę. Rogi antylop czerwonych rozdzielają się po środ-

ku mniej więcej na trzydzieści centymetrów, a końcami stykają się prawie. Młodzieńcy nie dziwili się teraz, że Hans w tych osobliwszych rogach upatrywał najwybitniejszą cechę zwierzęcia.

W całej gromadce którą mieli przed sobą, jedna tylko antylopa miała wspaniałe rogi zupełnie rozwinięte; był to widocznie stary samiec głowa rodziny, reszta składała się z samic i młodzieży, wszystkich było ze dwanaście sztuk. Antylopy czerwone nie trzymają się liczniejszymi stadami. Młodzieńcy nieraz już słyszeli, że te zwierzęta są nadzwyczaj trwożliwe i czujne, nie łatwo więc zbliżyć się do nich i różnych podstępów używać potrzeba, ażeby tę zwierzynę upolować. Nasi myśliwi zaraz sobie ułożyli, że muszą zdobyć rogi pięknego samca i dołączyć je do swoich trofeów. Zaczęli też niezwłocznie obmyślać sposoby do wykonania tego przedsięwzięcia.

Zatrzymali wozy, nie kazali jednak wypręgać wołów, póki się nie załatwią ze swoimi łowami. W razie powodzenia chcieli rozłożyć obóz w tej dolinie, ususzyć mięso i rogi przyrządzić do przechowania.

Młodzieńcy dostali się na wierzchołek wyniosłego wzgórza, z kąd widzieli jak na dłoni małą łączkę na której pasły się antylopy, nie mogli tylko dojrzeć tego, co się działo u stóp góry, w głębi kotlinki, którą osłaniała stercząca krawędź skały. Kępki drzew rozsypane były na całej przestrzeni, zamkniętej pomiędzy dwoma pasmami gór, a pomiędzy niemi rosła wysoka i gęsta trawa, mogli więc nasi myśliwi prześliznąć się niepostrzeżenie pośród tych zarośli i zbliżyć się do antylop.

Stanęło na tém, że William i Henryk mieli okrążyć dolinę i zająć z drugiej strony, zbliżając się ostrożnie do gromadki antylop, a potem śmiało na nie uderzyć. Reszta myśliwych miała pozostać u stóp wzgórza i strzelać do uciekających antylop. Tym sposobem zwierzęta byłyby wzięte w prawdziwą pułapkę; po obu stronach kotliny wznosiły się strome wzgórza, z trzeciej znów rzeka zamykała drogę do ucieczki, a ponieważ antylopy czerwone niezbyt wprawnie pływają, więc zdawało się, że powodzenie polowania było zapewnione.

Młodzieńcy uwiązali konie do drzew rosnących na pochyłości wzgórza i spuścili się pieszo na dolinę. Postępowali szybko i bacznie spoglądali dookoła, wkrótce też ujrzeni przed sobą ów kąt u stóp góry, zagłębiony, którego przedtem nie widzieli. Jakież było zdziwienie ich i przestach, gdy tam spostrzegli inną gromadkę zwierząt całkiem odmiennych. Te nie pasły się wcale, leżały na trawie, a żółta ich skóra odbijała jaskrawo od zieleni łąki. Kształt ciała tych zwierząt, głowa ich ogromna, okrągła, krótkie a silne łapy, uzbro-

jone w ostre pazury, ogon żyłasty zakończony pękiem włosów, wszystko to dobrze było znane naszym młodzieńcom. To nie było spokojne stadko trawożernych stworzeń, ale zgraja straszliwych drapieżników.

XLIII.

Myśliwi czworonożni.

Ta gromadka, która tak niespodzianie ukazała się przed oczyma naszych młodzieńców, składała się z dwunastu lwów. Było tam parę starych samców, kilka lwic i młodzież rozmaitego wieku. Przerażający to był widok i domyślacie się zapewne, że młodzi myśliwi struchleli wszyscy, nie wyłączając Williama i Henryka.

Chociaż lwy rzadko kiedy porywają się na ludzi, gdy nie są rozdrażnione, trudno było spuszczać się na to w obec tak licznej gromady. Dwanaście lwów! pomyślcie tylko, co by się stało się z naszymi podróżnikami, gdyby tym okrutnikom przyszło do głowy rzucić się na nich tak jak koty rzucają się na drobne ptaszęta? Niewielka przestrzeń dzieliła ich od lwów, które byłyby ich dosięgły w kilku susach. Nie dziwimy się też wcale, że młodzieńcy, pomimo całej swój odwagi, zadrżeli na ten widok od stóp do głowy.

Gdy jednak pierwsza trwoga przemigła, pomyśleli nad tem co dalej robić. Już to, jeśli mamy prawdę powiedzieć, niestosownieśmy tu użyli wyrazu „pomyśleli” bo żaden z nich nie miał w tej chwili tyle przytomności umysłu, aby na dobre o czemś myśleć. Zapomnieli zupełnie o antylopach, polowanie wywietrzało im z głowy, szaleństwem byłoby teraz schodzić w dolinę, starsi i doświadczeniśi od nich myśliwi nie odważyliby się na to i młodzieńcy jaknajśpieszniej się zawrócili.

Dopadłszy koni byli już bezpieczni, nie obawiali się aby lwy pogoniły za nimi; na szczęście wiatr wiał w stronę przeciwną, straszliwe zwierzęta nie mogły ich zwęszyć i pewnie nie domyślały się obecności ich w pobliżu swojego legowiska. Dzielne wierzchowce mogły ich teraz w mgnieniu oka unieść daleko, lew nie jest w stanie dogonić dobrego bieguna, nawet kucyki Janka i Klaasa potrafiłyby umknąć w razie potrzeby.

Jednakże, gdy przemigło niebezpieczeństwo, Henryk i William zaczęli żałować, że nie będą mogli obaczyć, co się wywiąże ze spotkania lwów z antylopami. Przedstawiali więc towarzyszom, że nicby się im nie stało, gdyby się umieścili na jakimś miejscu wyniosłym i spojrzeli raz jeszcze z daleka w głąb dolinki. Hans miał także wielką ochotę przypatrzeć się lepiej gromadce lwów, a i Arend nie był wcale od tego. Co do dwóch

malców, starsi bracia nie chcieli ich narażać bez potrzeby i namówili, aby niezwłocznie odjechali do miejsca, gdzie pozostały wozy i tam na nich czekali.

Czterej jeźdźcy cichuteńko podjechali na krwędz skały, z której można było spojrzeć w głąb dolinki i stanęli tam jeden przy drugim. Antylopy pasły się spokojnie na łączce środkowej, nie przeczuwając nawet, jak straszny nieprzyjaciel na nie czyha. Inaczej byłyby niezawodnie umknęły pędem strzały. Ale kierunek wiatru, który sprzyjał młodym myśliwym, bo ich lwy nie mogły węchem wysledzić, zgubił biedne antylopy, bo i one z tego powodu nie zwierzyły swoich wrogów, a dojrzeć ich nie mogły, gdyż zarośla dzikich krzaków osłaniały lwy przed ich wzrokiem.

Tymczasem drapieżne te zwierzęta widocznie wysledziły antylopy i ostrzyły na nie zęby. Od czasu do czasu jeden z samców przysuwał się do krzaków, pełzając ostrożnie i chciwy wzrok zapuszczał na łączkę, potem powracał na dawne miejsce, tak zupełnie, jakgdyby był na zwiady wysłany i zdawał sprawę innym ze swoich spostrzeżeń. Wszystkie starsze lwy, samcy i samice, zebrali się w skupioną gromadkę, jak gdyby się naradzali. Niezawodnie knuły straszliwy jakiś spisek na nieszczęśliwe antylopy.

Po ukończeniu posiedzenia, członkowie tej rady rozdzielili się i każdy udał się w inną stronę. Jedni posuwali się wzdłuż tegoż samego pasma gór, przy którym byli przed chwilą zaczajeni, inni okrążyli dolinkę od strony rzeki i przeszli na drugą stronę, pełzając ciągle z największą ostrożnością pośród traw i ziół wysokich. Łatwo było odgadnąć ich zamiary, widocznie ułożyli takiż sam plan polowania, jak nasi myśliwi, chcieli otoczyć antylopy i zagrozić im drogę do ucieczki. Można sobie wyobrazić zdumienie młodzieńców, gdy spostrzegli, że własny ich pomysł z taką zręcznością był w czyn wprowadzony przez drapieżne zwierzęta, które im na drodze stanęły w tak świątynnym przedsięwzięciu. Widok ten gniewał ich i bawił zarazem.

Trzy lwy okrążyły tym sposobem dolinkę i ukryły się w zaroślach po drugiej stronie antylopy, podczas gdy reszta ustawiła się u stóp gór poza krzakami. Przez chwil kilka młodzi myśliwi stracili zupełnie z oczu lwy, a antylopy pasły się ciągle najspokojniej, nie przeczuwając żadnej zdrady. W końcu jednak jakiś niepokój je ogarnął, czy przecucie niebezpieczeństwa, samiec położył głowę obejrzał się dokoła, gwizdnął przeciegle i parę razy uderzył kopytem o ziemię. Cała gromadka skupiła się naokoło niego, niektóre zaczęły podskakiwać, naksztalt antylop skaczących

Wiatr wiał teraz od strony trzech lwów, które je zaszyły od tyłu, mogły więc antylopy zwęszyć drapieżników.

Stary samiec powtórzył hasło trwogi potem dał potężnego susa i cała rodzina poczęła szybko uciekać, wyskakując za jego przykładem. Lwy urządziły wybornie swoje polowanie; antylopy spłoszone biegły prosto w stronę, gdzie druga część drapieżnej gromadki na nie czatowała; pędziły za wiatrem, nie mogły więc zwietrzyć zasadzki. Zbliżyły się wkrótce do gęstwiny, gdzie lwy były ukryte, a w tejże samej chwili z za krzaków wyskoczyło dziewięć straszliwych kotów, większych i mniejszych, każdy rzucił się na upatrzoną zdobycz, obalił ją jednem uderzeniem potężnej łapy i pazurami rozszarpał. Napad był tak gwałtowny, że w przeciągu kilku sekund wszystkie lwy się sprawiły i każdy trzymał pod sobą zamordowaną antylopę, napawając się krwią swjej ofiary.

Z gromadki, która przed chwilą wyskakiwała na łące pozostało jeszcze trzy po tej rzezi, ale nie na długo się uratowały, gdyż stały się pastwą trzech lwów, goniących je z tyłu. Wszystkie więc padły, co do jednej, żadna nie uniknęła straszego swego losu, polowanie przebiegłych kotów powiodło się znakomicie.

Podróżnicy spoglądali przez czas jakiś na krwawą ucztę dwunastu lwów. Henryk i William mieli wielką ochotę podjechać bliżej i posłać im parę kulek ale przyrodnik stanowczo się temu sprzeciwiał.

— Lew jest najstraszniejszy w chwili, gdy się krwią napawa — mówił Hans — biada temu, kto mu wtenczas wejdzie w drogę.

Roztropność nakazywała usunąć się jak najspieszniej z tak niebezpiecznego sąsiedztwa, Henryk i William nie opierali się naleganiom towarzysza, Arend także stanął po jego stronie i wszyscy czterej udali się śpiesznie do miejsca, gdzie wozy na nich czekały.

Tam młodzi nasi myśliwi odbyli walną naraadę, gdyż niebezpiecznie było puszczać się dalej tą samą drogą, której strzegła taka straszliwa załoga. Postanowili więc dostać się na drugą stronę rzeki i zaczęli szukać płytkiego miejsca, któreby mogli w bród przebyć wraz z wozami.

Znaleźli je wkrótce, przeprawili się szczęśliwie i rozłożyli obóz na drugim brzegu, gdyż słońce się już zniżało ku zachodowi i pora była zanocować.

Nie żalowali wcale, że usłuchali tego dobrego natchnienia; przez noc całą słyszeli ryk przeraźliwy z tamtej strony rzeki, gdzie zapewne owa liczna gromada lwów miała stałe swoje koczowisko.

XLIV.

W d o w y.

Podróżnicy nasi nie mieli ochoty przebywać długo w tém niemilem sąsiedztwie i nazajutrz o świcie puścili się w dalszą drogę, trzymając się zawsze brzegów rzeki. I po tej stronie ciągnęły się tak samo pasma gór i wąwozy zarośnięte kępami drzew. Wzgórza te coraz więcej zbliżały się do rzeki, droga się zwężała i stawała się uciążliwsza, zwłaszcza dla wozów. Parę razy woły ustawały, gdy napotkano na samym brzegu strome wyżyny, trudne do przebycia, ale Kongo i Facetan umieli trafić do przekonania pocciwych zwierząt, używając różnych sposobów, nie szczędząc bata i nie żałując gardła. Obaj pochrypli od krzyku, lecz postawili na swoim i wydostali się na koniec na lepszą drogę.

Wozy wjechały na rozległą dolinę, a ponieważ w tém miejscu rzeka znacznie już była węższa i niezbyt głęboka, więc można ją było przebyć w bród. Młodzieńcy widzieli teraz przed sobą pasmo skał wyniosłych, przez które przedzierała się rzeka. Na szczęście wody w niej obecnie było tak niewiele, że mogli najbezpieczniej wprowadzić w nią wozy i korytem rzeki dostać się na drugą stronę tej kamiennej zapory. W czasie deszczów, gdy wszystkie strumienie przybierają, zamiar ten nie byłby tak łatwy do wykonania, ale teraz wody tak spadły, że widać było płytkie dno, drobnymi kamyczkami usłane. Po drugiej stronie góry ukazywała się rozległa równina i tam już wszelkie trudności ustawały. Tymczasem ponieważ w tej dolince mieli wyborną paszę dla bydła, czystą wodę do picia i podostatkim drzewa do rozpalenia ogniska, rozłożyli w niej obóz na nocleg.

Było to prześliczne ustronie, ze wszystkich stron opasane wysokimi górami, cały środek doliny zajmowała rozkoszna łąka, bujną trawą pokryta, drzewa rosły dopiero u stóp gór i na stokach, na brzegach strumienia porastały sitowia i niskie krzaki. Podróżnicy wyprzęgli woły, rozsiodłali konie i puścili je swobodnie na paszę. Nie było obawy, aby zwierzęta mogły się wymknąć; najpierw były bardzo pomęczone, a potem, jak wspomnieliśmy, dolinka dokoła była zamknięta górami. Zresztą pocóżby miały odbiegać od takiej wyborniej paszy, od zdroju świeżej i czystej wody?

Klaas i Janek zwyczajem swoim zaczęli szperać po krzakach, wypatrując gniazd ptasich. Bystre oczy chłopaków dostrzegły w zaroślach licznej gromadki ptaków, i ciekawość ich była podbudzona. Wkrótce wykryli i gniazda wśród krza-

ków i ziół wysokich, na wybrzeżach strumienia; wyglądały nakształt woreczków, zawieszonych na gałęziach, ptaszęta niewielkie, z pozoru do wróblów podobne wchodziły do nich przez otwór okrągły, urządzony u góry. Gniazda te nadzwyczaj dowcipnie były utkane z włókien roślinnych, wysłane wewnątrz miękkim kutnerem, pochodzącym zapewne także z jakiejś rośliny, której jednak chłopcy nie mogli odszukać w pobliżu.

Ptaszki te były im dobrze znane, napotykali je już nieraz i wiedzieli, że należą do rodzaju wikłaczów. Nazwa ta nadawana jest wielu ptakom, najrozmaitszej powierzchowności, które się odznaczają wszystkie niepospolitym dowcipem w budowaniu gniazd. Krajowcy nazywają je pospolicie tkaczami, gdyż w rzeczy samej gniazdka ich są jakby utkane, a najrozmaitsze przybierają kształty. Jedne są prawie kuliste, inne wydłużone jak gruszki, inne zakręcone ślimakowato, lub wygięte, jak retorty chemiczne. Nakoniec wikłacz towarzyski urządza coś nakształt ogromnego ula, który czasem przykrywa jak strzecha cały wierzchołek wielkiego drzewa i liczna gromada ptaków sadowi się w tém wspólném gnieździe.

Wikłacze, których widok tak ucieszył naszych chłopaków, noszą nazwę naukową *amadina squamifrons*; odkrycie to z tego względu radowało Janka i Klaasa, że miękki kutner, używany przez te ptaszki do wyściełania gniazd, wybornie zastępuje kłaki do naboju, a ponieważ zapas kłaków, który zabrali z sobą, już się wyczerpał, więc ta pomoc w samą porę się przytrafiła. Wytłomaczyli to przyrodnikowi, który inaczej nie byłby za nic pozwolił na niszczenie gniazd. Tu jednak zachodziła istotna potrzeba i chłopcy mogli ze spokojnem sumieniem parę gniazd spustoszyć.

(D. c. n.).

Łamigłówka liczbowa (E. K.).

Z 10 liter nazwisko znakomitego współczesnego pisarza polskiego. Przystawiając litery otrzymamy: 1, 2, 6, 7, płyn życiodajny. 10, 9, 7, 3, rzeka na Wołyniu, 1, 3, 2, 4, miasto w Azji, 2, 3, 9, zwierzę, 10, 7, 3, drzewo, 1, 2, 5, 6, 7, roślina, 7, 3, 2, ciecz gorąca, 7, 10, 2, miejsce niebezpieczne, 1, 2, 3, bryły lodu, 6, 7, 3, imię starożytne, 2, 5, 6, 9, 3, zbiornik wody.

Krzyż z podstawą (E. K.).

	1	
	.	
10	.	14
	.	
	.	
	.	
15	.	17
18	.	22
23	.	9
	.	29

Wyraz od 1 — 9 oznacza miasto w Syrii, od 10 — 14 wielkiego ptaka, od 15 — 17 przyimek, od 18 — 22 wielki zbiornik wody, od 23 — 29 imię królów polskich.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 27-go.

Łamigłówki głoskowej:

Gość w dom, Bóg w dom.

Łamigłówki kryształowej:

	M					
	M	A	K			
	M	A	T	K	A	
M	A	T	E	J	K	O
	M	A	J	O	R	
		I	K	Ś		
			O			

Odpowiedzi od Redakcyi.

Boles... Chrzanows... w Działkowskich. Rozwiązanie zagadki historycznej bardzo dobre, lecz przysłane jak wiele innych, już przyznaniu nagrody.

Gabryńci N. w Muchotówku. Cieszymy się że Księżniczka Katarzyna tak się podobała. Nie może wychodzić bez przerwy z powodu że co drugi numer, miejsce jej zajmować musi dodatkowo dla małych dzieci, które także rade czytywać *Wieczory*.

P. Jadwidze Jętk... w Krośniewicach. Kop. 50 włożono do puszek dla ubogich dotkniętych najcięższą nędzą.

P. J. Wołow...u w Lublinie. Żądane numera oddano do p. Artzta. Nagroda dawno już wysłana, a ogłoszenie o rozwiązaniu zagadki drukowane jeszcze w numerze 27.